



Banda

O Springhill w Stroud, pierwszym intencjonalnym co-housingu w Wielkiej Brytanii, opowiadają:

Ruth (61 lat), rezydentka
Jeremy (62 lata), mieszkaniec

MOTYWACJA

Jeremy: Współczesne życie jest dość głupio zorganizowane. Każdy ma swoją pralkę i kosiarkę. Każdy codziennie przygotowuje posiłek dla kilku osób, a potem musi po nim posprzątać. Marnuje się pieniądze, czas, przestrzeń. Pierwszy raz usłyszeliśmy o idei co-housingu, kiedy wiele lat temu mieszkaliśmy w Australii i od razu nam się spodobała. To rozsądniejszy sposób na życie. No i miło jest robić rzeczy z ludźmi.

Ruth: Jesteśmy z Londynu, więc najpierw tam próbowaliśmy zakładać grupy. Jedna nigdzie nie doszła. Druga zaszła całkiem daleko, ale rozbiła się o finanse. Rząd i administracja lokalna nie wspierają co-housingów, a deweloperzy byli dla nas za szybcy. Natychmiast kupowali każdy kawałek ziemi, który rozważaliśmy.



Jeremy: Wiedzieliśmy o Springhill od dawna, bo David Michael, który go zainicjował, to mój przyjaciel ze studiów. Jakies 10 lat temu powiedział nam, że jest tutaj dom na sprzedaż. Uznaliśmy, że to dobry plan B. Kupiliśmy go i od razu wynajęliśmy. Przeprowadzka nie wchodziła w rachubę, bo dla naszych dzieci, wówczas nastoletnich, opuszczenie Londynu na rzecz prowincjonalnego miasteczka było przerażającą wizją. Ale już pięć lat później, kiedy rozpadła się nasza druga grupa, a dzieci były na studiach, pomyśleliśmy: „Dlaczego by nie wypróbować Springhill”?

Ruth: Na początek wprowadziliśmy się na miesiąc, żeby sprawdzić, czy co-housing, o którym rozmawialiśmy przez tyle lat, faktycznie jest dla nas. Okazało się, że na naszym memie „oczekiwania vs rzeczywistość” obie strony wyglądały dość podobnie.

Jeremy: Jeśli jest taka możliwość, każdemu polecam najpierw to wypróbować. Wiele osób kocha co-housing w teorii. Ale nigdy nie powinny tu mieszkać.

ORGANIZACJA ŻYCIA

Jeremy: Nasi przyjaciele uważają, że jesteśmy szaleni. „Nie moglibyśmy tak żyć”, mówią. Dla nich to nieakceptowalne, że w co-housingu ma się jakieś obowiązki wobec społeczności. Nawet jeśli tylko dwa. Po pierwsze, raz w miesiącu musimy dołączyć do zespołu, który przygotowuje wspólny



posiłek. Po drugie, każdy powinien wyrobić 20 godzin pracy komunalnej w roku. To pikuś, bo co miesiąc jest dzień „roboczy” i jeśli dołączysz do niego dwa razy, to bez problemu odbębnisz swoje 20 godzin. Zresztą nikt ich nie liczy.

Ruth: Trzeba położyć na szalę obowiązki i to, co tu zyskujesz. Dla nas korzyści są niezaprzeczalne. Ale musisz być określonym typem człowieka, by tak na to patrzeć.

Jeremy: Większość ludzi, którzy zakładają co-housingi jest do siebie podobna. To silne osobowości, jak nasz David. Jest zdeterminowany, nie zniechęca się, właściwie nie sposób zepchnąć go ze ścieżki, którą wybrał. Te cechy pomagają w założeniu co-housingu, ale już niekoniecznie w życiu tutaj. We współmieszkaniu sprawdzają się ludzie cierpliwi, którzy umieją pójść na kompromis. Nie muszą mieć zawsze ostatniego słowa.

Jeremy: Działamy w grupach, natomiast moc decyzyjną ma wyłącznie stowarzyszenie mieszkańców, które spotyka się raz w miesiącu. Obecność nie jest obowiązkowa. Korum to 10 na 35 domów i nie zawsze udaje się je zebrać. Ludzi odstrasza konsensus.

WYZWANIA

Ruth: Z naszą londyńską grupą przeszliśmy szkolenie z podejmowania decyzji przez konsensus. Podzieliliśmy się na podgrupy, w których mieliśmy



zaplanować wspólne wakacje. Nie udało się. Nawet podczas wymyślanego urlopu niektórzy nie byli w stanie się dogadać. Także kiedy wprowadzaliśmy się do Springhill, myśleliśmy, że wiemy, co oznacza konsensus. Guzik. Chodziliśmy sfrustrowani, nie mogliśmy się przyzwyczaić do tego, ile to trwa. „Co za szczęście, że wprowadziliśmy się, kiedy najważniejsze decyzje zostały już podjęte” powtarzaliśmy. Ale z czasem doceniliśmy konsensus. Kiedy ogląda się ten proces od środka i widzi się, jak grupa powoli wychodzi na prostą, a ostatecznie nikt nie jest niezadowolony z decyzji, to jest naprawdę niezwykle.

Jeremy: A jeśli coś dalej budzi twój sprzeciw, zawsze możesz dać temu czerwoną kartkę. Nawet gdy pozostałe 20 osób na sali uważa, że to świetny pomysł. Ale oczywiście jest presja, żeby tego nie robić.

Ruth: „Presja” lub raczej bliscy ludzie, którzy pytają: „Co możemy zrobić, żebyś czuła się z tym dobrze?”. I dalszy ciąg negocjacji. Widzieliśmy, że to działa, wielokrotnie.

Jeremy: Rozwiązanie nie zawsze jest racjonalne. Mieliśmy długie dyskusję *à propos* tego, jakie palniki zamontować w kuchni po remoncie: na gaz czy indukcję. Na ringu zostały dwie osoby, obie radykalnie przekonane do swoich racji. Jedna uważała, że gaz jest trujący, szkodliwy dla środowiska. Druga, że indukcja to promieniowanie elektromagnetyczne, również szkodliwe. Skończyliśmy z oboma palnikami.



Ruth: Jedynym miejscem, gdzie decyzje nie są podejmowane przez konsensus, jest kuchnia. Główny kucharz mówi ci, jak pokroić pomidory i nie ma dyskusji.

STARZENIE SIĘ

Jeremy: Często mówi się, że nie jesteśmy swoimi opiekunami. Że w miarę jak się starzejemy i stajemy się coraz bardziej schorowani, nie mamy obowiązku opiekować się sobą nawzajem. A jednak to robimy. Kilka lat temu jedna z sąsiadek ciężko zachorowała, bez rokowań na przeżycie. Powstał grafik: kto kiedy będzie przy niej siedział, kto gotował. Nieobowiązkowy, chcieliśmy to robić. Może właśnie dlatego, że nie musimy?

Ruth: Poza tym mamy wspólną przeszłość. Tamta sąsiadka, kiedy była młodsza, robiła dużo dla wspólnoty. I potem przyszedł czas, żeby jej się odplacić. Byliśmy szczęśliwi, że możemy to zrobić.

Natomiast co roku, podczas dni otwartych, słyszymy od starszych par: „Bardzo byśmy chcieli dołączyć, ale nie jesteśmy jeszcze gotowi”. W domyśle: „Nie jesteśmy jeszcze wystarczająco starzy”.

Jeremy: Niektórym wydaje się, że to jest cel co-housingu. Żeby wprowadzić się do niego, kiedy będą potrzebowali opieki. Nie mamy limitu wiekowego, bo nie chcemy nikogo wykluczać, ale takie podejście jest nie w porządku.



ARCHITEKTURA

Ruth: Springhill jest położone w samym centrum Stroud, co jest fajne, bo możemy wyjść na kawę czy spotkanie z przyjaciółmi poza co-housing. Inaczej mogłoby być zbyt hermetycznie. Natomiast przez to mamy mniejsze ogrody, mniej miejsca, żeby hodować warzywa, niż wiejskie co-housingi.

Jako architektka, po pięciu latach mieszkania tutaj mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że to nie budynki czynią co-housing wyjątkowym. Najważniejsza jest wspólnota.

Jasne, pewne elementy są kluczowe dla życia komunalnego. Na przykład to, że mamy jedną główną ulicę, bez samochodów, i żeby dostać się gdziekolwiek, trzeba nią przejść. Po obu stronach są domy, bardzo blisko siebie – kiedyś powiedziałabym, że za blisko. Ale dzięki temu zawsze kogoś spotkasz, pogadasz.

Jeremy: Kiedy idziesz do miasta, musisz zaplanować dodatkowe 15 minut.

Ruth: Czasem dostajemy zbiorowego maila: „Ostatnio czuję się gorzej, więc jeśli na mnie wpadniecie, nie pytajcie, proszę, jak się mam”. Bo np. ta osoba straciła ojca.

Jeremy: Nauczyliśmy się, że niektórych lepiej zostawić w spokoju, kiedy mają określony wyraz twarzy. Zajęło mi trochę czasu, żeby dostrzec, jak to sygnalizują.



POCZĄTKI

Ruth: Założyciele wspominają, że początki były bardzo trudne, bo Springhill to pierwszy co-housing w Wielkiej Brytanii. Byli jak pionierzy – cały czas pod górkę, ze ślepa wiara, że się uda. Jesteśmy im za to naprawdę wdzięczni. Tylko potem byli tak zmęczeni, że kiedy się wprowadzili, chcieli wreszcie zająć się swoim życiem. W efekcie są dość zamknięci, czasem postrzegani jako wywyższający się.

Jeremy: Śmiejemy się, że w co-housingach występuje tzw. „syndrom założyciela”. Chodzi o to, że inicjator tak bardzo angażuje się w tworzenie projektu, że często potem nie może w nim mieszkać. Projekt jest jego dzieckiem i nagle ma się nim dzielić przez konsensus? Wykluczone. Nie może patrzeć, jak ludzie knocą. Wyprowadza się. Tak było z Markiem, który zbudował Lancaster, ale nie mieszka tam. Wiem, że David też o tym myślał.

Ruth: Coś podobnego dzieje się w architekturze. Mówi się, że aby projekt się udał, architekt musi najpierw uczynić go swoim psychologicznie. Potem oddaje go budowniczemu i wtedy on powinien poczuć, że jest jego. To konieczne, żeby wszyscy jak najlepiej wykonali swoją robotę. Na koniec kluczowe jest włączenie klienta w ten proces, poprzez wybieranie kafelków, kolorów ścian, klamek. Mówi się, że projekt odniósł sukces, kiedy klient



poczucie, że należy do niego. Nie każdy potrafił oddać swoje dziecko, np. Frank Lloyd White wszystko robił sam - od ścian, po meble kuchenne.

MINUSY

Jeremy: Co-housing jest otwarty na ludzi z okolicy, również fizycznie – sąsiedzi przechodzą przez niego po drodze do parku. Mamy tu wielu bliskich znajomych, bo Stroud jest pełne twórczych, progresywnych, zielonych osób. Podczas referendum o Brexicie było mało kropką „remain” w morzu „leave” w tej części Anglii. Ale jest tu też trochę ludzi, dla których jesteśmy intruzami. Dziś jest lepiej, choć przez wiele lat co-housing nie miał najcieplejszych relacji z sąsiednią ulicą. Wcześniej ten teren był opuszczony i sąsiedzi się do tego przyzwyczaili. Nie podobało im się, że nowe budynki zasłoniły im widok i że ubyło miejsc parkingowych w okolicy. Do tego większość co-houserów jest z daleka, może trzy domy to ludzie ze Stroud.

Ruth: Myślę, że z ich perspektywy możemy wyglądać na trochę zadufanych w sobie. Dziwaki z klasy średniej, z pieniędzmi.

Jeremy: Czy jesteśmy bańką? Niestety tak. Poza kwestią religii. Mamy tu katolików, żydów, buddystów, kwaków. Ale już np. politycznie – nuda. Przewaga laburzystów i zielonych, jeden liberalny demokrat i sądzimy, że pewien sąsiad jest w tajemnicy torysem.



Oczywiście najgorzej, że jesteśmy bańką klasową i demograficzną. Mieszkania w co-housingu są droższe niż ich odpowiedniki w miasteczku. Wspaniale byłoby, gdyby wprowadziła się tu młoda rodzina z dziećmi, ale mało którego trzydziestolatka w południowej Anglii stać dziś na kupno domu. Dlatego starzejemy się jako wspólnota. Ponad połowa z nas jest po sześćdziesiątce.

Ruth: To coś, o czym dużo ostatnio rozmawiamy. Jak zorganizować, żeby część mieszkań była do wynajęcia? Bo w tym momencie wstęp jest regulowany wyłącznie rynkiem. A na mieszkanie tutaj mogą sobie pozwolić głównie starsze pary czy single, którzy kupują domy z trzema sypialniami.

Jeremy: Wiele osób ma tego świadomość. Wprowadzili się tu na samym początku z rodzinami, potem ich dzieci się wyprowadziły, więc zwolnili większe domy. Dla nas to też było naturalne, że kiedy zorientowaliśmy się, że nasz dom jest za duży, sprzedaliśmy go i przeprowadziliśmy się do mieszkania z jedną sypialnią. Ale niektóre starsze pary dalej zajmują pięciopokojowe domy, gdzie mają pracownię i pokój gościnny – używany raz na kilka miesięcy.

Ruth: W naszej londyńskiej grupie spędziłem tydzień, rozmawiając o tym, jak bardzo będziemy zieloni, ale kiedy przyszło do praktycznej rozmowy o tym, kto potrzebuje miejsca parkingowego, to wszyscy się zgłosili. Tu jest podobnie. Zrezygnowaliśmy z samochodu, ale i tak brakuje miejsc, bo niektóre pary mają po dwa auta. Co-housing nauczył mnie, że



to, co ludzie deklarują jako swoją ideologię, a kto potem faktycznie pozmywa po wspólnym posiłku – to są dwie różne sprawy.

WSPÓLNOTA

Ruth: Jakieś 25 lat temu próbowaliśmy zamieszkać z moją siostrą i jej rodziną. Stworzyliśmy małą komunę. Mieliśmy wspólną kuchnię, salon, gotowaliśmy razem. Siedzieliśmy sobie na głowach. To nie zadziałało. Ostatnio zastanawialiśmy się, dlaczego i czemu tutaj jesteśmy tacy szczęśliwi. Zrozumieliśmy, że kluczem jest posiadanie własnej przestrzeni. W Springhill jeśli chcemy, możemy wyjść do ludzi, ale nasze mieszkanie jest samowystarczalne. Dzięki temu poradziliśmy sobie w trakcie lockdownu. Wszyscy po prostu wycofali się do swoich domów.

Jeremy: Nie ma jednego słowa na określenie relacji, która nas łączy. Jesteśmy kimś więcej niż sąsiadami, ale mniej niż rodziną. Z niektórymi się przyjaźnimy, innych nigdy nie odwiedziliśmy w domu. Ale wybraliśmy, żeby tu być i to jest podstawa. No i mamy już wspólną historię. Żartujemy, że jesteśmy jak plemię, banda, klan.

Ruth: Nasz co-housing ma dobry rozmiar. Jest na tyle duży, że jeśli naprawdę masz z kimś problem, to możesz od niego odpocząć. Ale tych problemów jest niewiele. Przez pięć lat nauczyliśmy się, jak być dobrymi co-houserami.



Poza tym tutaj dajesz sobie więcej czasu na sprawdzenie, czy rzeczywiście chcesz się z kimś zaprzyjaźnić. Na zewnątrz możesz pozwolić sobie na większe ryzyko. Rzucasz się w relację, otwierasz przed drugą osobą, bo wiesz, że jeśli nie wyjdzie, to najwyżej się wycofasz. Tutaj masz więcej do stracenia. No i nie musisz się śpieszyć. I tak zobaczycie się za tydzień przy kolacji.

Ada Petriczko



WARSZAWA
W
BUDOWIE

miejsca^{na}
Fundacja na Rzecz
Wspólnot Lokalnych





Key

- 1. Parking Area
- 2. Common House
- 3. Pedestrian Street
- 4. Shared Houses
- 5. Houses
- 6. Flats
- 7. Studios

